

Andrzej Walter

W drodze do Itaki (1)

Kiedy nadejdzie zimowa melancholia, kiedy polska szarość osiągnie apogeum i kiedy w końcu poczujesz, że prawie nie rozpoznajesz busoli sensu... sięgnij po Nikosa Kazantzakisa i jego arcydzieło; sięgnij po „Greka Zorbę”. Sięgnij i przenieś się w inny świat, czy lepszy? Nie wiem. Nie wiem też, czy odkryjesz w nim swoją Itakę?

Tam odnajdziesz jednak drogowskaz, jakiś nowy kierunek, pewną świeżość i nagłe olśnienie. Może zdobędziesz się jeszcze na wysiłek choćby podjęcia próby metamorfozy duszy? Może zamiast ulegać faustowskiej chorobie wiedzy wybierzesz wreszcie szlachetną prymitywność naiwności, aby choć spróbować przeobrazić swoje życie w dzieło sztuki? Choć w sensie dosłownym Kazantzakis tę akurat metamorfozę uznaje za patent co nieco beznadziejny i prowadzący do zguby, snuje on ważne dywagacje o życiu, śmierci i codziennym przemijaniu.

Nie mówmy już niczego więcej. Nie wkraczajmy zbyt głęboko, zbyt intensywnie, nazbyt nachalnie w owo dzieło. Dzieło naszego życia. Dzieło jakim mogłoby być nasze życie... Niech ono nadal pozostaje sztuką ukrytą, tajemniczą i nieodkrytą, schowaną przed wzrokiem pazernego świata. Owianą woalem niedopowiedzenia. Cóż czynić kiedy świat wokoło staje się prawie nie do zniesienia?

Oto zawsze wtedy można otworzyć karty książki. Księgi życia, księgi prawdy, księgi najpiękniej skleconych słów, księgi starannie zapisanych zdań, które błyskawicznie przeniosły nas w ten inny świat. W świat ciekawy, pasjonujący, magnetycznie pociągający, w świat wiodący nas w głąb swego jestestwa, w świat fascynujący bogactwem myśli, wydarzeń i uczuć. W świat emocji i działania się, które ze względu na materię słów bierzemy smakować wnikliwie, spokojnie, miarowo i powoli, w sposób najpełniejszy z możliwych, w sposób wytrawny i dokładny zezwalający na konstruowanie myśli, wyobraźni, pytań i odpowiedzi. W świat jakże odmienny od tego świata, naznaczonego przecież głodem, zimmem, zdradą i śmiercią. To świat bez końca, świat wieczny, świat bezgraniczny, ależ tak – to właśnie świat „księgi”, najwyczejniejszy świat książek... świat, od którego wszystko się rozpoczyna – postawiony naprzeciw tego świata dosłownego, tego jakże realnego, tego banalnego i dosadnego świata, świata, jak poniedziałek, wtorek, środa i tak dalej... jak obecny świat zafundowany pieniądzem, środkami produkcji, w którym najdoskonalszym z produktów stał się przecież sam człowiek.

A tu nagle, na kratach książki pojawia się...

Morze, słodycz jesieni, wyspy skąpane w świetle, przeźroczysty welon drobniutkiej mżawki, powlekający nieśmiertelną nagość Grecji. (...)

Myślałem, jak szczęśliwy jest człowiek, któremu przed śmiercią dane było żeglować po Morzu Egejskim.

Wiele rozkoszy kryje w sobie ten świat – kobiety, owoce, idee. Ale pruć to morze w czas cichej jesieni, szepcząc imię każdej wyspy – to rozkosz, która zdolna jest przenieść serce człowieka wprost do raju. Nigdzie tak łagodnie i łatwo nie przechodzi się od rzeczywistości do marzenia. Zacierają się granice, a maszyny najstarszych okrętów obrastają owocami jak pędy winogron. Można powiedzieć, że tu, w Grecji, cud rodzi się na zawołanie.

Tak oto Nikos Kazantzakis przenosi nas do raju. Przenosi nas do całkiem innej krainy, przenosi na karty książki niemal doskonałej, jednej z jakże wielu znanych mi ksiąg doskonałych. Przenosi nas w ukojenie. Uwodzi nas swą niesamowitą prozą skąpaną w świetle i jakby w poezji, opanowuje, wręcz zagarnia naszą duszę na inny, wyższy i bardziej wysublimowany poziom percepcji, każe nam wchłaniać, czuć i prawie na własność osiąść ów świat, który w miarę lektury staje się nad wyraz realny, prawdziwy i odczuwalny. To właśnie jest terapia doskonała, terapia pełna, lekarstwo na życie.

Tym lekarstwem jest sam Zorba. Aleksy Zorba i jego historia. Aleksy Zorba – prymitywny dzikus, łowiący gdzieś wysoko swój pokarm: twórczą, odnawiającą się każdego ranka naiwność, która nieustannie dostrzega wszystko po raz pierwszy, nadając dziewczęco odwiecznym, codziennym żywiołom – powietrzu, morzu, ogniu, kobiecie, chlebowi, pewności ręki, rzeźkości serca i odwadze szydzenia z własnej duszy. (...)

I właśnie **odwaga szydzenia z własnej duszy** przeciwstawiona jest tu, ale i powinna być przecież zawsze i wszędzie, w każdej naszej chwili, przeciwstawiana wyuczonej, wykreowanej, zaszczepionej wręcz i jakże dojmująco współczesnej – **faustowskiej chorobie wiedzy**. Tak można zrozumieć najprawdziwszy i jedyny sens naszego życia. Życia, które przecież kiedyś się skończy i nie zabierzemy ze sobą z tego świata absolutnie nic – ani materii, ani wiedzy, ani żadnego z wytworzonych dóbr, a zabierzemy jedynie – być może – coś, co nazwalibyśmy onegdaj duszą, a to coś, co chyba waży o wiele mniej od ciężaru zapisanych gdziekolwiek i kiedykolwiek słów... Odwaga i śmiałość szydzenia z samego siebie to jakby wyższy etap wtałmniczenia. To ważny i doniosły krok w prawdę człowieczeństwa, w pokorę przemijania i w siebie samego doszczętnie zmaltretowanego wszystkim, co nas spotkało. Być może to nawet brawura. Pewien aspekt szaleństwa i emancypacji: intelektu, emocji oraz głęboko skrywanego ego. Niech raz kozie śmierć. Wstań i żyj. Wsłuchaj się w dźwięk santuri.

Dlaczego nagle sięgnąłem po tę książkę?

Czemu szukam tam, gdzie tyłu już przede mną szukało? Co odnajdę w przestrzeni poznanej, odkrytej i spenetrowanej? O nie. Nie. Zaprawdę. Tu nie o szukanie i znajdowanie chodzi, nie o słowa i nie o wiarę, nawet nie o nadzieję. Tu chodzi o **Sztukę**. Sztukę czynienia z własnego życia sztuki. Sztukę nieosiągalną. Sztukę jeszcze wciąż i zawsze – nie wyrażoną, nie uczynioną i nie dokonaną. Sztukę ponad wszelkie sztuki. Sztukę poszukiwań. I o sztukę kochania życia i nie bania się śmierci... Mało? Wystarczy. Na jedno życie chyba aż nadto.

W wierszu *Tak mało* grecki poeta Ilias Simopoulos ostrzega nas –

*Wielu zasypia i umiera
nie doznając budzenia
nie słysząc nowych wiadomości.*

*Inni czuwają. Walczą
z samotnością. Uparcie
bronią się jak skały
w zębach fal.*

*Czego naprawdę
szukaliśmy w życiu?*

*Miłości kobiet
dumy
zwady ze śmiercią.*

– *Tak mało.*

„Grek Zorba” mógłby być każdym z nas, a i my moglibyśmy momentami stać się Aleksym Zorbą. Tyle, że ja do dziś nie spotkałem Aleksiego Zorby. Ty też go nie spotkałeś. Nikt go nie widział, nie słyszał, nie poznał. On został wskrzeszony z okrucichów naszych dusz przez Nikosa Kazantzakisa, a może nawet nie? Może nawet to nie Nikos go wskrzesił, ale jakaś siła wyższa, jakaś moc spoza wymiarów, Demiurg, Istota... Ktoś niepoznawalny, a Nikos jedynie spisał to, co go olśniło w przypiływie weny twórczej? Któż to wie? Kto bezapelacyjnie tego dowiedzie? Czyż nie tak tworzy się wielką literaturę, czyż nie tak rozpoznaje się życie? Życie, a może i śmierć?

Trzydzieści dwa lata temu, w roku 1985 ja również „żeglowałem” po Morzu Egejskim. Mijałem archipelag Wysp Saronickich, aby dotrzeć do wyspy Hydra. Byłem biedny jak mysz kościelna. Biedny, ale szczęśliwy. Wokół piękne Szwajcarki z kamerami video w swoich wypieszczonych i wypielęgowanych dłoniach uwieczniały wyjątkowe chwile. Mnie nie było stać nawet na puszkę coca-coli. Miarę tego szczęścia odmierzam jednak do dziś. Przez kolejne trzydzieści dwa lata przewędrowałem bardzo wiele greckich wysp. Wciąż do nich powracam. Szepcę imię

(Dokończenie na stronie 4)